Lwów, 24. Sierpnia. №. 101. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 ½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy).

IX.

Zwiedzając galicyjskie podgórze i zapuszczajac się przytem w głąb samych Karpat, napotykamy nieraz na wzgórzach wysokich, najczęściej z pomiędzy nieprzebytych borów wyglądających, olbrzymio wypiętrzone skaliska, które zdaleka wyglądają jak gdyby ruiny starych zamków i grodów, a często nawet obejrzane z bliska, pozostawiają nas jeszcze w wątpliwości, ażali choć w jakiejś części nie są wyrobem przedkilkunastuwiekowej sztuki, i nie służyły niegdyś zbłąkanym pomniejszych hord azyatyckich hetmanom za obronne na czas jakiś mieszkanie? Często bowiem w ich wnętrzach znajdujemy obszerne, niby ręką ludzką wykute hale, w ich gładkich ścianach pokazują się regularne czworograniaste wyłomy, a na ich szczytach widać ślady wschodów, częstokroć tak dogodnych i rozmierzonych, że nie można je w żaden sposób wziąć za utwor nie znającej się na tak dobrych rozmiarach natury. Takie zamki skaliste służyły jeszcze do niedawna za schowanie karpackim opryszkom i zbójcom, czasem za miejsce igraszki wiejskim pastuszkom, zawsze zaś za główny punkt oparcia bujnej fantazyi podkarpackiego ludu, który żadnej skały, zadnego urwiska, żadnego oddaleńszego ostępu nieopuści bez przywiązania doń jakiejś fantastycznej powieści. Takiemi też były owe ogromne skaliska, ktore wśród przerzedzonej pustyni pokazały się Kamilowi.

Widział on tedy najpierw ogromny i bardzo obszerny pokład kamienny, który zrazu niskiemi, mchem i krzewiną porosłemi grzbietami, niby nieśmiało pełzał po powierzchni zwolna zniżającej się ziemi. Wszakże tuż zaraz za kilkonastoma takiemi skalistemi pręgami podnosiła się wysoka ściana kamienna, która wyglądała, jak gdyby jedno skrzydło pozostałe z jakiegoś starego, podruzgotanego zamczyska. Od strony poludniowej była ona bardzo wysoka i gruba, lecz ku północy zniżała się zębatemi wschodami dość nagle, a kończyła się jednym olbrzymim głazem, grubym i zaokrąglonym u góry, który jak gdyby pałka Maciejowa stał wbity w ziemię kamienną, lecz nie rodził na sobie nic prócz mchów i dzikiej zieleni. Kolo tych dwóch główniejszych części tej skalistej gromady piętrzyło się jeszcze kilka innych głazów, uderzających to dzikością, to fantastycznością rysunku, — a wszystko to razem zwieszało się nad ogromną przepaścią, podmurowaną spuszczającym się tam owym skalnym pokładem, i dawało widok przepyszny na lasy gęste, szumiące tam w dole, na pola i wioski rozsiane za temi lasami, i na ogromny kawał cudnie pięknego kraju, rozprzestrzeniającego się daleką w mgłach niebieskawych niknącą równiną, i przepasanego niebieską wstęgą wspaniałej rzeki, wsuwającej się wolno w wiecznie rozwartą i nienasyconą paszczę Czarnego morza.

Tak wyglądało pierwotne to miejsce schowane w wnętrzu odwiecznej puszczy, i patrzące jak duch dawnych wieków swemi szaremi oczyma na dalekie niwy Halickiej ziemi. — I wtenczas było ono bogatą sceną dla różnych podań o zaklętych rycerzach, pokutujących w tych skałach;, o Carzyku pogańskim, tu mieszkającym przed laty i wypadającym z zbrojnemi hufami na drapiestwo okolicznych siół i miasteczek, o jakiejś królewnie Tatarskiej, tu w więzieniu trzymanej i potem za branki chrześciańskie ruskiego ludu wymienionej, i o różnych innych fantastycznych postaciach, jakoby tu zamieszkałych przed laty. Wszakże dzisiaj nie mieszkaly tu już żadne duchy pokutujących rycerzów lub drapieżących Carzyków, ani się chowali w tych skałach opryszki lub zbójcy, ani się nawet do nich śmiały zbliżyć dla swawoli niewinne pastuszki. Dzisiaj — bo też i miejsce to calkiem wyglądało inaczej.

Więc najpierwej do tej ściany skalistej było tu przymurowane dosyć duże i obszerne domostwo. Pierwiastkowy kształt jego zdawał się być niebardzo wyszukanym i pięknym, ale później poczynione odmiany i starannie podobierane ozdoby, ubrały go w jakąś szatę, jeżeli nie całkowicie piękną, to przynajmniej mającą pretensyę do piękności i elegancyi. Albowiem najprzód wszystkie ściany zewnętrzne były starannie wytynkowane i pięknym szarawego koloru obciągnione pokostem, okna były wąskie gotyckie, barwistemi szybami opatrzone u góry, cały dom otoczony szerokim z płyt kamiennych starannie ułożonym chodnikiem, a od poludniowego frontu przymurowana była obszerna wystawa, na dwóch szeregach zgrabnych kolumn spoczywająca, obstawiona kwiatami i dachem blaszanym nakryta, nad którym się piętrzyły trzy szpiczaste wieżyczki. Cały dom był także pod dachem blaszanym, w którego środku

podnosiła się znowu blaszana, szpiczasta, największa ze wszystkich wieżyczka, okrążona czterema mniejszemi i zaopatrzona kręcącą się wiecznie na wiatrach chorągiewką. Ściana owa skalista, o którą dom się opierał, mieściła nad dachem przy sobie sztucznie zrobione schody z żelazną poręczą, które aż na jej wierzch prowadziły, a na jej wierzchu była wystawiona zgrabna przezroczysta altanka, okolona żelazną balustradą,—a wszystko to razem było utrzymane w jakimś tonie pół-ciemnym, ponurym, w formach więcej staroświeckich niż nowszych, że ani dom sam i jego przybory nie odbijały za nadto świeżo i lekko przy ciężkich skałach, ani skały za nadto dziko przy tym ludzkiej ręki utworze.

Z północnej strony domu, nad owem przepaścistem urwiskiem był front drugi, a przed nim znajdowała się znowu wystawa, opatrzona szkłami, kwiatami i jedwabnemi kotarami od słońca, i prawie tuż nad przepaścią wisząca, lecz za to z strony przeciwnej rozlegał się obszerny przed domem dziedziniec. Na tym dziedzińcu był zajazd piękny zrobiony, okalający gazon utrzymany starannie: lecz dziedziniec ten się gubił w sztucznym ogrodzie, nęcącym tutaj kilkoma wdzięcznemi grupami ładnych brzozek, tam piękną wierzbą, płaczącą ponad głazem omszonym schyloną, gdzieindziej krętą drużyną lub bujnie zieleniejącym trawnikiem, a w innem miejscu przepysznym wodotryskiem, wystrzelającym ze skały i formującym tuż zaraz piękną, białym piaskiem wysypaną sadzawkę. A dokoła tego ogrodu szumiała puszcza leśna, z czarnych odwiecznych jodeł złożona, i obwiewała to miejsce czarowne owym balsamicznem przyrodzonych lasów powietrzem, o które napróżno się kuszą po sztucznie zakładanych parkach ogrodowi sztukmistrze. Krótko mówiąc, miejsce to dzikie i nieprzystępne, więcej straszne i smutne, niż piękne z natury, ręka ludzka zmieniła, nie mówię w piękność skończoną, lecz w jakiś tak trafny środek pomiędzy samą naturą i samą sztuką, że żadna tutaj nie górowała nad drugą i obydwie spływały tylko w dźwięczną ze sobą harmonię.

Właścicielem i mieszkańcem owego domu i skał i ogrodu i puszczy, był pod owe czasy stary jenerał. Imienia jego i nazwiska wiedzieć niepotrzebujemy, bo na nic-by się nam to nie zdało; nie oznaczymy go nawet żadną literą, bo to-by ciekawych mogło zaprowadzić na jakieś bezdroża, — a na co nam tego? Mamy bity gościniec przed sobą, więc idźmy nim prosto, bez żadnych zboczeń, nie tylko piórem, ale nawet i myślą.

Otóż jenerał był to już dzisiaj człek stary, lecz rzeźwy jeszcze i zdawał się czerstwym i zdrowym jak młody. Był on wzrostu kolosalnego, miał pierś wypukłą, plecy szerokie i trzymał się zawsze prosto, jak żołnierz. Głowa jego była już siwa, twarz okrągła, koścista, nos cokolwiek szeroki, oczy czarne jak węgle, usta ściągnięte i gniewne. Na całej twarzy malował się jawnie wyraz surowości, stanowczości, odwagi. Lecz przytem także snuły się po niej ciągle jakieś chmury posępne, czarne, nigdy nierozjaśnione, które o tyle jeszcze były widocznemi, ile że je jak lampa czerwona, kopcąca, oświecała nieprzełamana duma swoim jaskrawym płomieniem. Cała też postać jego wyglądała jak wykrzyknik, zakończający krótkie słowa rozkazu; kiedy mówił, wyglądał jak drogoskaz z podniesionem ramieniem; kiedy chodził zatopiony w myślach po izbie, wyglądał jak wódz czyniący przegląd szeregów; kiedy siedział samotny w kącie i dawał przystęp dawnym swego życia wspomnieniom, wyglądal tak, jak-by słuchał raportów. W jego oczach nie było innego wzroku, tylko badawczy, w jego gardle innego tonu, tylko rozkazujący, w jego chodzie innego kroku, tylko krok marszu. Nosił zawsze frak granatowy z długim wąskim ogonem, białą chustkę i kamizelkę, pantalony granatowe obcisłe i bóty palone z kutasami. I otóż cały jenerał.

Jenerał był potomkiem jednej z tych dosyć znakomitych, lecz zarazem tak licznych w dawnej Polsce familij, które w różnych czasach różne przechodziły koleje. Jego przodkowie za Zygmunta III. siadywali w senacie, za Władysława IV. i Jana Kazimierza nie spotyka się nigdzie o nich wspomnienia, za Sobieskiego jeden z nich się uwiecznia męstwem i poświęceniem w długich wojnach z Turkami, w pierwszych latach XVIII. dwóch tego imienia odznaczają się zażartością przeciwko prawowitemu królowi, żenią się bardzo bogato, lecz wkrótce znów upadają. Dopiero w epoce upadku rzeczypospolitej ojciec jenerała wynosi znowu na publiczną widownię to imię i podnosi się majątkowo. Ludzie starzy, pamiętający jeszcze te czasy i znający towarzyszące im okoliczności, bardzo dwuznacznie mówili o tej tak nagle nabytej fortunie, a nową sławę tego imienia nazywali po prostu niesławą, wszakże dzisiaj już nic pewnego o tem powiedzieć nie można, bo owoczesne postępki tego człowieka przepadły gdzieś w niepamięci i wszelki ślad zatarły za sobą.

Syn tego, niepewnej fortuny i dwuznacznej sławy człowieka a dzisiejszy jenerał, był małem chłopięciem jeszcze oddany do jakiejś akademii wojskowej do Wiednia. Skończywszy kursa, wstąpił z gotową rangą do służby, lecz posłużywszy lat parę, wziął dymissyę i powrócił do kraju. Tu objął majątek, leżący gdzieś na pograniczu pomiędzy ziemiami Podolską a Bełzką, i zacząwszy gospodarować z energią, z równą energią chciał wodzić rej między szlachtą. Atoli szlachta, nie tylko że się nie poddała temu nieproszonemu przywództwu, ale założywszy stanowcze veto przeciwko zasadom ogłaszanym przez niego, w krótkim czasie obrzuciła prawie klątwą publiczną człowieka, który się śmiał targać na maxymy i uczucia, może nielicujące z obecnemi okolicznościami i odsłaniającą się zwolna przyszłością, lecz pomimo to zawsze jeszcze święte i szanowane przez wszystkich. Oppozycya ta, stająca się coraz zuchwalszą i rozgłośniejszą, rozgniewała i tak wzburzyła

tego szczególniejszym uporem obdarzonego człowieka, że się wściekał z gniewu, i przy poczynających się naówczas na drugi zawód wojnach Napoleońskich w Europie zachodniej, wstąpił na powrót do wojska. Służby tej nie porzucił on już aż póty, póki całkiem nie skończyły się wojny. Dosłużył się on tam rangi pólkownika i zaszczycony tytułem jenerała, w roku 1813. powrócił do kraju. I teraz jakoś nie chwytały go się już żadne pochucie panowania moralnie nad szlachtą; przeciwnie nawet, oddał on się domowemu życiu, ożenił się i siedział na wsi jak najspokojniej. Dawna nienawiść szlachty ku niemu nie obudzała się wcale, a chociaż to i owo przeciwko niemu po sąsiedztwach bąkano, jednak ci, którzy go znali zbliska, oddawali mu wielką cześć za jego osobistą uczciwość i nie mogli się dosyć nachwalić jego uczynności, której, mając wielkie wpływy u władz i przełożonych kraju, nigdy nie odmawiał nikomu.

Po kilku leciech spokojnego mieszkania na wsi odumarła go żona, zostawiając mu córkę jedyną. Tę córkę oddał jenerał zaraz na wychowanie swej siostrze, a sam został się na wsi, gospodarując wzorowo, wspomagając sąsiadów i pieniędzmi i dobrą radą, a nadewszystko protekcyą i swojemi wpływami, które prawie nigdy nie omylały. I tak minęło lat kilkanaście. Wszakże przed kilku laty jenerał znowu wszedł w scyssyę ze szlachtą. Niewiadomo z pewnością, jakie były do tego powody, ale z wieści obiegających po okolicy można się było domyślać, że wniósł on jakąś kwestyę publiczną na tapet powiatu i na tem polu stoczył z opinią publiczną jakąś zawziętą batalię. W tej batalii został on od szlachty pobitym na głowę, a klęska ta tak go do żywego dotknęła, że postanowił usunąć się całkiem z zamieszkiwanej dotychczas przez siebie okolicy i od zwycięsców swoich odciąć się na zawsze. To postanowienie nie trudno mu było doprowadzić do skutku, bo posiadał inne dobra w głębokich górach, te właśnie, do których nas kolej wypadków zaprowadziła w tej chwili. Dobra te składały się z całego klucza drobnych karpackich wiosek, obejmowały sobą ogromne lasy, sięgające granicy węgierskiej, zawierały rudę żelazną, lecz ziemię miały najgorszą i ztąd przy zaniedbaniu przemysłu, któren w tych okolicach jest jeszcze w kolebce, wcale nie były intratne. Atoli jenerałowi nie chodziło o intraty, bo te miał skądinąd, ale chodziło mu o oddalony od świata i ludzi przybytek, a ten niemógł być nigdzie doskonalszym jak tutaj. Kazał on więc stary dwór, wymurowany niegdy w tych skałach, wyrestaurować tak, jak to widzimy, i tutaj zamieszkał z postanowieniem, zakończenia już w tem schowaniu dni swoich. Wszakże przyzwyczajony przez całe życie do poważnych zatrudnień, nie spędzał on tych dni na samym-li odpoczynku po trudach życia, — duch jego żwawy jeszcze, przedsiębiorczy i czynny, i tutaj sobie wynalazł zajęcie. A tem zajęciem stał się właśnie ów przemysł, o którym jeszcze tak mało myślą posiadacze dóbr górskich w Galicyi. Fabryk więc i przemysłu chwycił się stary żołnierz z młodzieńczą prawie energiją i do czego tylko znalazł w posiadłościach swoich materyał, wszystko to wziął na uwagę i próbę. Począł więc najpierw wyrabiać wielkiemi masami gonty, pobudował tartaki, palił popioły i wyrabiał z nich potaż, a tego roku nawet rospoczął na wielką skalę kopalnie rudy i zarazem zakładał już fundamenta do wielkiego pieca i dwóch o podal od niego fryszerek. Przy tak rozległych przedsiębiorstwach miał on pracą wypełnione dnie całe, a chociaż niemiał zwyczaju, sam pilnować wszystkiego i tylko przez silnie zorganizowaną hierarchię służby i rygor wojskowy utrzymywał wszystko w ustawicznym ruchu i porządku, toż jednak sam zawsze główną sprawował komendę i wiedział o wszystkiem. Tak ciągle pracą zajęty, nietylko utrzymywał się przy zdrowiu fizycznem, ale odpędzał także od siebie owe myśli trawiące i niemiłe wspomnienia, które go wypędziły z urodzajniejszego kraju i weselszych okolic, i jeżeli niebył rzeczywiście szczęśliwym w sobie i spokojnym, to przynajmniej nie miał czasu do odnawiania dawnych nieporozumień swoich ze światem i niespokojności wewnętrznej. (C. d. n.)

Jan i mucha.

— «Na co opatrzność życie temu dała!»
Rzekł Jan do muchy, co mu sen przerwała.
— «Otóż to właśnie, mój szanowny panie,
«To samo miałam zadać ci pytanie!»
Czarnem skrzydełkiem brzęcząc koło ucha,
Rzekła mu mucha:
— «Boć że ja żyję, niemasz w tem nic złego:
«Brzękiem obudzę śpiócha nie jednego,
«Niecierpliwego cierpliwości uczę,
«A że i dobrym czasami dokuczę?
«Panie! człek człeka na swiecie nieszczędzi,
«A klniesz, gdy mucha czasami ci zrzędzi.
«Lecz ty... któremu od rana do zmroku
«Tylko na myśli jadło i posłanie;
«Ty co unikasz wszelakiego kroku,
«Któryby mógł ci nadweręzyć brzucha;
»Tobie-by słusznie zadała pytanie,
»Mucha;
«Na co opatrzność życie temu dała?»
Jan milczał, widać mucha prawdę powiedziała.

Bruno B.

Elekcja Michała Korybuta.

W samą wigilję sejmu nadjechali tłumnie Litwini, jako to: Marszałek konwokacji Chrapowicki i obadwaj Pacowie, kanclerz wielki i hetman z Połubińskim pisarzem pol. lit., który cicho ubiegał się o buławę osieroconą po Wołłowiczu, ale już ją w sekrecie po abdykacji królewskiej otrzymał książę Michał Radziwił podkanclerzy. Pacowie odby-

wali wjazd bujno i gromadno, aż zazdrość brała panów koronnych.

Nazajutrz 2. maja we czwartek prymas odśpiewał w kolegjacie mszę o Duchu świętym, a kazanie powiedział ksiądz jezuita Piekarski, w którem zachęcał do jedności i porzucenia prywaty. W piękną pogodę jechali wszyscy senatorowie i posłowie za miasto na elekcyjne pola. Tam o trzeciej po południu, Chrapowicki przemawiał w kole rycerskiem, i rozdawał Wielkopolanom głosy na marszałka, któremu laskę miał złożyć. Ale okrzyknęli go zaraz posłowie bracławscy, że na nic w świecie nie pozwolą, póki wprzódy materja przysięgi ukończoną nie będzie. Rozdwoiły się zatem zdania, i każdy szlachcic o czem innem prawił; jeden chciał wybierać marszałka, a potem dopiero mówić o przysiędze, drugi wniósł, żeby znieść amnestję, która stanęła za konwokacji, trzeci krzyczał, żeby gwardję oddalono ze stolicy.— Książę podkomorzy krakowski przemówił się o gwardję z panem Połubińskim, i bitwę Częstochowską sobie wyrzucali. Chrapowicki nie mógł pogodzić posłów, a że się już zmierzchało, i nazajutrz następowała uroczystość świętego krzyża, odwołał posiedzenie do soboty.

Przysięga dla posłów i senatorów, postanowiona przez sejm konwokacyjny, na cały tydzień odwlokła elekcję marszałka. W sobotę znowu podstoli i sędzia wołyński mówili przeciw przysiędze, za co przymawiał im podczaszy dobrzyński, twierdząc, że ten pewnie na nią nie pozwala, komu spodobała się swawola, a wolność uprzykrzyła, i potem chorąży sandomierski, który obwiniał Wołynianów o to, że poczuwają się do czegoś, kiedy przysięga jest dla tego postanowiona, żeby usunąć nieporozumienia, wynikłe z powodu wmieszania się do spraw Rzeczypospolitej hydry francuskiej. Powstał zgiełk na te słowa i groźby, że aż do gardła nie odstąpią przeciwnicy swojej protestacji, a Poznańskie już rozprawiało o potrzebie rozparcia się orężem, lotem nadeszli do rycerstwa z senatu kasztelanowie brzeski i gnieznieński, przynosząc zgodę i prosząc o zapewnienie bespieczeństwa. Rycerstwo przystało na to, aby marszałkowie koronni wzięli na siebie staranie około spokojności publicznej, ale po odejściu kasztelanów jeszcze się o przysięgę spierali. W poniedziałek nowe o to spory, ale już więcej drażliwe, bo religijne i osobiste. Pan Chełmski pokłócił się z panem Sarbiewskim, to jest stolnik sandomierski z miecznikiem ciechanowskim, kalwin z katolikiem. Sarbiewski nazwał stolnika apostatą i powiedział, że to jedno i to samo jest, co wilk i pies, a Chełmski na to: Kto mnie ma za apostatę, mam go za niekatolika i niechrześcianina, kto mnie ma za wilka, mam go za psa i za co gorszego, za niecnotliwego. Przyszło do tak gorącej z tego powodu sceny, że marszałek grodzieński Kierdej radził Chrapowickiemu natychmiast złożyć laskę. Powtórzył tę prośbę jeszcze na następnej sesji pan Puchalski, który chciał, żeby sami posłowie marszałka elekcyjnego obierali. Taki wniosek pobudził szlachtę do huczku, jak mówi jeden spółczesny djarjusz. Wymawiano sobie nawzajem stronnictwo francuskie, bitwę pod Montwami, abdykację królewską i prawa konwokacyjne. Wołodkiewicz poseł miński nowe wrzaski obudził wnioskiem swoim, żeby deputowani do konstytucji w r. 1667 nie byli kandydatami do laski.

Pomimo tej gorącości szlachty, Chrapowicki przyjeżdżając na pole elekcyjne, czekać musiał na panów braci, którzy się tak wolno schodzili. Skarżył się na to w okopach, ile że zdrowie mu niesłużyło, i chciał co prędzej zbyć się ciężaru; co chwila jednakże szlachta miała inny przedmiot do sporu, i przeciągała niepotrzebnie elekcyę. W wilię obioru marszałka, szeroko jeszcze rozprawiano o banitach, o sądach kapturowych, o nowej szlachcie, żeby nie miała głosu, bo konstytucya jeszcze o niej nie orzekła, a pan Zaręba wnosił, żeby prymas nie miał prawa, zniosłszy się razem z marszałkiem wydawać instrumentu elekcyi nowemu panu, bez pozwolenia całej Rzeczypospolitej. Straszył go przykład Uchańskiego i Maksymiliana.

Nareszcie przyjęto, że wszyscy złożą przysięgę przepisaną przez sejm konwokacyjny, i w skutku tej zgody w dniu 10. maja przystąpiono do głosowania na marszałka. Leszczyński, krajczy koronny, jako poseł poznański, zabrał pierwszy głos, i oświadczył się za młodym starostą spiskim, Stanisławem Lubomirskim. Było stronnictwo, które już oddawna przeznaczało dla niego laskę, ale starosta czy niechcąc wywołać rozdwojenia, czy też przekonany, że się nie utrzyma, podziękował Leszczyńskiemu za spółczucie i od przyjęcia laski wymawiał się uroczyście. Szlachetne pobudki podawał do tego młody Lubomirski; mówił że nie jest zdolny, że są od niego zasłużeńsi, a co najważniejsza, tłumaczył się niestósownością chwili, bo na sejmie elekcyjnym miała właśnie przypaść sprawa ojca jego marszałka i hetmana, więc stroną i sędzią być nie chciał. Zasłaniał się też przykładem ojca, że na sejmie koronacyjnym Jana Kazmierza marszałkiem koła rycerskiego już prawie obrany, odstąpił także pretensyi swojej, kiedy widział współzawodnictwo do laski wielkich domów w ojczyźnie. Leszczyński podał więc Szczęsnego Potockiego z Podhajców, który był podstolim koronnym. Inni szlachta głosowali na pana Pieniążka starostę oświecimskiego. Okrzyknięto Pieniążka, że był deputatem po konstytucyi w roku 1667, ale pomimo tego szlachta tłumnie za nim głosowała. Nowy na ten raz zupełnie zaprowadzono sposób elekcyi: każdy szlachcic występował w koło, i podawał osobno głos; województwo postępowało za województwem. Potoccy, którzy już od dawna godzili na laskę elekcyjną, spędzili na pole, acz nie bez wstydu dla swego domu, ogromną moc pachołków i dworzan różnych panow, którzy stawali przy województwach i głosowali, a inaczej aniby pomyśleli o używaniu prawa szlacheckiego. Było tedy o

czekiwanie ogólne, bo Pieniążek dosyć znalazł stronników. Choć niewiele, ale zawsze górą był jednak podstoli koronny; już w samem województwie poznańskiem miał 28 głosów, kiedy Pieniążek uzyskał tylko 11. Wielkopolska wiernie trzymała się za Potockim, ale Pieniążek poparł się cokolwiek przy Mazowszu, głosowała też za nim Żmudź i Litwa; oczywiście w małej Polsce był również znacznie górą nad Potockim, ale upadł przy Rusi. Rezultat tego głosowania wynosił za Potockim szlachty 926 (u Chrapowickiego 929), a za Pieniążkiem 627. Tak więc przeważył podstoli koronny starostę sandomierskiego większością 299 głosów. Zaczęto o 9. rano, a skończono elekcyę o 5tej wieczorem. Chrapowicki zdał tedy władzę swoją Potockiemu, który dosyć zimno dziękował braci szlachcie za laskę i łaskę, i zaraz przysiągłszy posłał do senatu z oznajmieniem. Ksiądz arcybiskup cieszył się ze zgody rycerstwa, i przytoczył wtedy przykład słonia, który przez dziewięć dni i dziewięć miesięcy nosi dzieci, stąd pewną wnosił wieszczbę, że i Rzplta obierze szczęśliwie króla, kiedy w dziewięć dni obrała szczęśliwie marszałka.

Po elekcji znowu na placu przysięga. Marszałek chciał wyznaczyć deputatów do kapturu jeneralnego, ale gdzie tam? pisarz polny litewski i krajczy koronny nowe materje nasunęli; ostatni chciał, żeby w rocie przysięgi zamieścić słowa: «nic nie wziąłem i nie wezmę od nikogo«. Krakowianie i Sandomierzanie wołali, że już raz przysięgli, a jak się dodatek utrzyma, drugi raz jeszcze przysięgać będą musieli. Więc Telefus prawił bajkę o bożkach, jak się zaprosili na ucztę i pominęli jedną niezgodę, ale ona oknem się dostała; potem Pieniążek przyczyny ostatnich zamieszań tak szeroko wywodził, że i słuchać się szlachcie znudziło. (C. d. n.)

O podróży Haxthausena po Rossyi.

(Ciąg dalszy).

Ale nie na samą tylko powierzchowność kraju, na formę budynków, stan dróg ten demon militarny zjadliwy wpływ swój wywiera; lecz stokroć okropniejszy jeszcze na zwyczaje i obyczaje ludu pospolitego, który we wsiach swoich żyje, jak żołnierz w koszarach. Bar. Haxthausen opisuje nam scenę wiejską, która, jak mówi, wielkie na nim wrażenie zrobiła:«Wszyscy chłopi we wsi o świcie na dany znak wyruszają z chałup na pole z pługami i zaprzęgami, wszyscy w tym samym czasie pracują, odpoczywają i na noc wracają; wszystko, jak żołnierze na błoniu. Trudno powiedzieć, kto tam jest gorszym biczem na chłopa, czy szlachcic, który wszystkie siły z niego wyssie, czy urzędnik, który go mustruje. Rossya ma armię dwojaką, a okropniejszą dla kraju nie jest armia żołnierzy, ale owa armia czynowników centralnej władzy, która jak pająk nitki swoje rozsnuła po całym kraju, i mieszkańców więzami najohydniejszej, nienadzorowanej biórokracyi krępuje.

Przytoczymy tutaj jeden przykład z tysiąca o duchu, który te maszyny rządu porusza, i o pojęciu, jakie mają o swoich prawach i obowiązkach. Na spiekłych stepach półwyspu taurickiego są, jak we wszystkich nowo osiedlonych okolicach, tu i owdzie porozrzucane futory, które naturalnie stoją pod nadzorem policyi, tej duszy społeczeństwa rossyjskiego. Tymto posługaczom bespieczeństwa było niewygodnie, te nieraz bardzo daleko porozrzucane osady nadzorować, przedkładają więc dnia pewnego Cesarzowi, aby dla ulżenia służby i lepszego nadzoru osiedlonym nakazał, żeby się w jedno miejsce skupili. Rząd wprawdzie odrzucił to podanie, i oświadczył czynownikom, że oni dla poddanych a nie poddani dla nich egzystują; jest to atoli jasnym dowodem, jaki duch pomiędzy urzędnikami rossyjskimi panuje.

Niemożna sobie wystawić widoku przykrzejszego, a oko i umysł więcej męczącego, jak społeczność rossyjską, rozrzuconą po tych niezmierzonych przestworzach, jednostajną, jak śniegowe stepy Sybiru; gdzie nic nad poziom nie pnie się do góry; gdzie wszystko jest próżne, mdłe i płaskie; gdzie indywiduum tonie w tej massie martwej; gdzie urzędnictwo krzewi się miasto życia narodowego, symetrya geometryczna miasto żywotnego porządku, ślepe posłuszeństwo miasto myśli; gdzie wszystko cierpi i milczy, drżąc między knutem czynownika i nahajką Kozaka; gdzie nawet ból jest monotonny, bo ogólny; gdzie ci co boleją, są atomem bez imienia; gdzie najściślejsza równość, t. j. równość nędzy panuje. Smutkiem przejmuje nas widok tego społeczeństwa; a jeśli zważymy, że te 60 milionów dusz jednemu służą panu i go słuchają, że z tych sześćdziesięciu milionów pięćdziesiąt jednym mówi językiem, tych samych obyczajów i tego samego jest wyznania; jeśli słyszymy przepowiednię p. Haxthausena, że ta dziwotworna demokracya, która nam się barbarzyńską i nędzną, jemu zaś szczęśliwą i od nas wyżej wykształconą wydaje, ma powołanie, nie od zachodu brać cywilizacyę, ale owszem swoją zachodowi narzucić: o! to widok ten społeczeństwa rossyjskiego nie smutkiem, ale zgrozą i przestrachem nas przejmuje.

Dziwaczne jest to dzieło Haxthausena! Na tej samej stronnicy, która najboleśniejsze, najprzykrzejsze wrażenie na czytelniku robi, opisując jaką scenę, opłakany stan Rossyi, wyraża on swoje zdanie, że stan ten jest w niektórych i właśnie w tych względach nawet do pozazdroszczenia. Pojmujemy wprawdzie, że te wielkie massy sławiańskie, po miastach i armiach skupione, entuzyazmowi są przystępne, mają w sobie owe czucie jedności co do ojczyzny i wyznania; ale czyż można ztąd wnioskować, że ich położenie socyalne jest błogiem? Udajmy się z tem pytaniem do sędziego, który tu jedynie wyrokować może, a na którego więcej spuścić się można, niż na pana Haxthausena i czytelnika jego, spytajmy się wprost na-

rodu rossyjskiego.... Wreszcie, jak można utrzymywać, że kmiotek rossyjski kontent z losu swego, jeżeli podług świadectwa naszego p. Barona, z niewypowiedzianym wstrętem do pługa się zabiera? jeżeli nad tem myśli i marzy, jakby oderwać się od gleby tej, krwią jego ale nie dla niego sprawianej, i umknąć tak, aby nigdy już do niej niepowrócić? jeżeli nawet Sybir przenosi nad dóm rodzinny, każdemu czystemu Sławianinowi tak drogi? A cóż tak przyjemnego czeka go na Sybirze? «W każdej wsi Sybirskiej, pisze p. Haxthausen, stoi na czele żołnierz, zwykle Kozak; on czuwa nad porządkiem osady i nahajką ich rozsądza bez miłosierdzia.« A przecież przenosi chłopek rossyjski komendę nahajkową nad ojcowiznę swoją, z tej jedynej przyczyny, bo na ziemi Sybirskiej przestaje być niewolnikiem.

Procedura sądowa tamtejsza tak obrzydłą jest w opinii publicznej, że ze szczególnem współuczuciem poglądają na osądzonych, szczególnie na skazanych na Sybir. Jest to nieomylną oznaką okropnej choroby w organizacyi społeczeństwa, jeżeli naród z tymi sympatyzuje, których dosięgło ramie sprawiedliwości.

Wiemy, że w wielkiem poważaniu jest ta teorya polityczna, wedle której pojedyncze nieszczęścia w narodzie zagęszczone, niczem nie są, jeżeli stoi nam przed oczyma cel ostateczny, do którego naród ten ma być prowadzony. »Co tam znaczy znikoma ofiara kilku ludzi, familij albo i pokoleń, jeżeli dobro powszechne, jak n. p. wzniesienie wielkiego narodu ztąd wypłynie? Co tam nędza i cierpienia indywiduów, jeżeli szczęście ogółu, rząd silny przez to do skutku przyjdzie?" Ha! niechby i tak było, choć pojąć nie mogę, jak można z taką lekkomyślnością indywiduami na korzyść tłumu, plemieniem dzisiejszem na korzyść potomności rozrządzać? Ale zastosujmy to do Rossyi. Jakiem prawem można człowieka najpierw ciemiężyć, żeby go kiedyś uszczęśliwić? Kto dał komu prawo, z zasady katować jednych, aby szczeźliwość drugich utrwalić? Tem mniej jeszcze pojąć mogę, że aby ogół narodu chwałą okryć, wszystkich członkow tego ogółu pozbawić można wolności i praw indywidualnych? Lecz dajmy pokój przykremu i daremnemu roztrząsaniu tej kwestyi moralnej, a wróćmy do ekonomicznej. Co przyczynia się więcej do wzniesienia rolnictwa i przemysłu, do zakwitnienia i utrwalenia dobrego bytu ogółu, czy wolny rozwój czynności indywiduów! czy władza wszystkiem nawet prywatnemi czynnościami z góry kierująca? Jak widzieliśmy w Zjednoczonych Stanach wybór zatrudnienia każdemu do woli jest zostawiony. I dla tego kwitną tam wszystkie gałęzie handlu i przemysłu. W Rossyi centralny komitet rządowy kolonizacyą bezwarunkowo kieruje. A porównajmy w tym względzie Amerykę z Rossyą, co za różnicę ujrzymy? Rolnictwo w Rossyi upada, najwyborniejsza ziemia w stosunku do swej żyzności, bardzo mało wydaje; na to mamy tysiące dowodów niezbitych, mamy świadka samego p. Haxthausena. Dla czegóż to się dzieje? Przyczyna, choć jej p. Haxthausen nie dostrzegł, jasno bije w oczy. Bo Rossya ma za nadto rolników, a ma ich tyle dla tego, że są przykuci do gleby, i stanu i zatrudnienia swego zmienić nie mogą. Haxthausen, czy olśniony, czy sam siebie łudząc, pomija prawdziwe przyczyny tego zła, i ucieka się do imagowanych jakichsiś wywodów. Wiemy dobrze, że zboże w Rossyi dotychczas prawie ceny nie miało, bo go za nadto było. Aż tu p. Haxthausen, który za główną podstawę dobrego bytu w Rossyi uznaje rolnictwo, mówi, że za mało rąk jest do rolnictwa, bo fabryki mu je odbierają, płacąc lepiej. Ztąd robi dwa wyniki: Nasamprzód, mówi on, broń Boże, znieść poddaństwo! bo ono jedynie trzyma wieśniaka na roli, któryby udał się pewnie do lepiej płacących fabryk. Powtóre, gdyby chciano znieść poddaństwo, to trzebaby najpierw fabryki poburzyć; ponieważ tym jedynie sposobem możnaby do uprawy zboża potrzebne siły przy roli zachować. Temu panu jak widać, los ziemi daleko więcej leży na sercu, niż los człowieka, który ją zamieszkuje, i od Boga jest jej panem. Niezmierzone pustką leżące płaszczyzny Rossyi wydzierają mu z piersi komiczny religijnonatchniony wykrzyknik: «Na wszelki sposób, za wszelką ofiarę uprawiać trzeba ziemię rossyjską! Będzie to czyn pobożny, albowiem rzekł Bóg człowiekowi: Uprawiaj w pocie czoła ziemię twoją!»

Co za szczególne pomieszanie idei lub może i zmysłów! Obłęd na obłęd. Ale czy może dalej zajść ten, co zbaczając z bitego toru prawdy, na mrzonkach fantazyjnych się puszcza.

Nie wielkość obszaru nie uprawionego jeszcze, ale czy z korzyścią obszar się uprawiać da, trzeba mieć na uwadze, a ile ziemi pod uprawę wziąć należy, oznaczyć można jedynie wedle zewnętrznej i wewnętrznej potrzeby. Potrzeba ta pokaże się sama z ceny produktów ziemi. Gdy te są bardzo tanie, to jest znakiem, że produkcya bezpotrzebnie już za nadto się wysiliła, a więc ją ograniczyć potrzeba. Chłop rossyjski przy największym urodzaju może być bardzo ubogim i umrzeć z głodu, jeżeli cena zboża bardzo nisko stoi, i na zapłacenie obroku całe swoje żniwo sprzedać musi. Co za bezsens, rolę dla roli uprawiać! Nigdzie nie nakazuje pismo św. uprawiać rolę potem nieużytecznym Zgadza się to z prawem, naturą i wolą bożą, aby człowiek nie tylko ręki, jak źwierzę, ale i rozumu od Boga danego używał, a to w taki sposób, jaki dla niego i bliźnich największą korzyść przyniesie. I tego trzyma się chłopek rossyjski przynajmniej instynktowo, jeżeli rolę porzuca, i udaje się do fabryk, które mu więcej korzyści przynoszą. Ale dla czegóż rolnictwo tak źle się wypłaca? Bo za nadto rąk na roli pracuje. Dla czego fabryki tak wielkie płace dają? Bo rąk im brakuje. Ta okropna w skutkach swoich nierównowaga w podziale sił roboczych, że przy

rolnictwie, produkcya potrzebę, a przy fabrykach potrzeba produkcyę o wiele przewyższa, tkwi w tej wadzie socyalnej, iż całą prawie ludność do jednego rolnictwa przykuto. Poddany, który więzy do gleby go krępujące rozerwać chce, i do fabryk ucieka, sam, idąc prawie za instynktem, który w nim niewolą tłumiono, ale całkiem przytłumić nie zdołano, czyni rzecz najstósowniejszą, aby zrównoważyć potrzeby z produkcyą, czyni to na ślepo daleko mędrzej, niż prawo, które ile możności cały nieład uwiecznić się stara.

Zburzenie fabryk zamiast nędzy zapobiedz, tylko by ją do najwyższego stopnia wzniesło. Bo już i tak za wielka liczba rolników, znacznieby się pomnożyła, massa zboża niepotrzebna jeszcze by się powiększała, i cena ziemiopłodów spadłaby najniżej.

Jedynym środkiem zapobieżenia temu byłoby zniesienie poddaństwa lub przynajmniej zostawienie wolnego wyboru zatrudnienia. Ta wolność wnetby przywróciła równowagę między różnemi gałęziami przemysłu, które zawsze są wyrazem i miarą wszystkich różnorodnych potrzeb kraju. Wprawdzie z początku upośledzonoby rolę dla fabryk, ale to upośledzenie rolnictwa wnetby ustąpić musiało, boby dla zbytniego natłoku do fabryk płace tam się zniżyły, a cena pracy około ziemi w tym samymby się stosunku podniesła. Dla rolnictwa i wszelkiej industryi jedyną jest tylko podstawą: wolność pracy i osoby; w tem jest fundament trwałego kwitnienia i spotęgowania wszelkiej czynności narodowej, czyli ta się zwróci do rolnictwa czyli do przemysłu.

D. n.

Rozmaitość.

* **Kraków** 17. b. m. «Co prawda to nie grzech.» Niestety! dla czego to piękne zdanie po wszystkich czasach tak mało zwolenników znajdywało na świecie?... «Bo bliższa koszula ciała» odpowie mi na to światowiec, a wiesz, że prawda kole w oczy, — że nie drażń psa, to nie ugryzie. A jeżeli tak, toć lepiej zamknij usta na kłódkę, a niegrzesz przeciw własnemu przekonaniu, niechwal słowem, co w myśli uległo twej naganie, nie kadź temu, który i szczypty kadzidła niegodzien. —

Prawdziwie niewiem, jak-by sobie kto inny będąc w mojem położeniu postąpił? I ja sam możebym wolał tą razą trzymać język za zębami, gdyby nie ta obawa, że mógłbym łatwo popaść u was w podejrzenie zbytniego lenistwa lub obojętności. Tą uwagą zachęcony przy nadarzonej sposobności, o co u nas każdego czasu, a osobliwie w tej porze roku tak trudno, po dwumiesięcznem milczeniu biorę pióro do ręki. —

Już w pierwszych dniach bieżącego miesiąca dowiedzieliśmy się, że dyrekcya tutejszego teatru w ręce pana Gaudeliusa oddaną została. P. Gaudeliusa mieliśmy sposobność poznać jeszcze w roku 1852 i 1854, kiedy za dyrekcyi p. Chełchowskiego przy niemieckiej operze obowiązki reżyssera pełnił. Różnych zatargów i nieporozumień, jakie natenczas zaszły między pojedyńczymi członkami opery a dyrekcyą, miał, jak powszechnie mówiono, głównie p. Gaudelius być powodem; o ile się to jednakże z prawdą niemija, na pewne twierdzić niemogę, niebędąc bliżej wtajemniczonym w sprawy zakulisowe. Zresztą mało nas to obchodzić powinno, czem był p. Gaudelius, czem atoli jest obecnie.... obojętnem nam być nie może. Z sążnistej onegoż odezwy do publiczności krakowskiej, poznaliśmy w p. Gaudeliusie obecnego dyrektora teatru naszego. I nie ma co mówić! nadzieje piękne, plan, jaki p. Gaudelius do skutku przyprowadzić zamyśla, i według którego ma scenę naszą postawić na stopie sławniejszych teatrów zagranicznych, — prawdziwie pochwały godny; lecz sam niewiem dla czego te wsystkie gładkie słówka niekoniecznie prawdopodobnemi nam się wydają? Prawda, że niesłusznie, coś zaraz z góry potępiać, lecz i łatwowiernym być trudno, a osobliwie w tym wieku, gdzie zwykle więcej słów, jak czynu. Dzisiaj tem więcej upoważnieni jesteśmy, niedowierzać tym wszelkim przedwczesnym obietnicom, iż zaraz na wstępie przekonaliśmy się o cokolwiek hyperbolicznym sposobie wysłowiania się p. Dyrektora. Concert paré zapowiedziany na 17 b. m. odbył się dnia wczorajszego w sali teatralnej; i byliśmy na nim, a napatrzywszy i nasłuchawszy się do sytu, zapytaliśmy się w końcu samych siebie: co też p. Gaudelius pod ową okazałością rozumi, czy tę pare świec więcej jak zwykle? czy może ten transparent oświecony przez parę sekund bengalskim ogniem, transparent, na który patrząc mimowoli drugie nasunęło nam się pytanie: czy dyrekcya niechciała, czy niemogła na coś lepszego się zdobyć?.. Gdzie owi znakomici artyści, którym dodawszy przydomek zagraniczni umyślono jak na wędkę ułowić publiczność miejscową, uderzając niby w jej słabą stronę, że co obce to dobre. Boć przecież pan Karol M. Wolff c. k. nadworny śpiewak opery w Wiedniu niewiem czy jakie ważne zajmuje stanowisko w swiecie muzykalnym? A zresztą, chociby i tak było, od niego zaczął i na nim się skończył ten cały szereg artystów zagranicznych. Przystąpmy do właściwego koncertu. Dwie pieśni: die Veilchen p. Montlong i Maedele ruck ruck p. Kücken, również jak i węgierskie pieśni p. Hubera odśpiewane przez pana Wolfa pięknie i z życiem. Głos jego tenorowy wyrobiony, giętki, więcej łagodny niż silny i w wyższych tonach szczególnie dźwięczny, jednem słowem przyjemne zrobił wrażenie na słuchającej publiczności. Co-bym mógł tą razą zarzucić panu Wolfowi, to niestosowność w doborze odspiewanych kawałków. Podobne bowiem pieśni wydadzą się dobrze gdzie w towarzystwie wesołych przyjaciół lub znajomych, w gronie mniej więcej familijnem, na zabawie prywatnej, ale nie na scenie, na której p. Wolf po raz pierwszy występuje, nie przed publicznością, która po tym pierwszym występie miała oceniać jego zdolności i talent artystystyczny.

Pan Władysław Dydyński, mierny skrzypek, i niedziw, że podołać nie mógł tak licznym trudnościom, jakie mu się prawie co chwila nasuwać musiały w tak trudnej partyi, jaką jest fantazya na temat z Lunatyczki kompozycyi K. Lipińskiego. Variacye Beriota nierównie przyjemniej i lepiej odegrał.

Pani A. Reuss-Gaudelius, primadona opery niemieckiej w Krakowie w r. 1853. już przy wykonaniu pierwszej aryi Mozarta z opery: la Clemenza di Tito, dawną znajomość odswieżyła w pamięci naszej, przekonując nas jak pierwej tak i teraz, że głos... to poezya, a sztuka to mniej lub więcej barwne sukienki, w które artysta myśl swoją ustraja. Gdzie wiek przytłumił dźwięk głosu, i czas rozstroił instrument, którym nas natura wyposażyła w młodości, tam na próżno przywołujemy w pomoc talent i znajomość sztuki do utworzenia dawnej harmonii.

Panna Marya Sitkowska, krakowianka, występująca w Aryi z opery Donizettego: «Il Furioso» dopiero poraz pierwszy na scenie występuje, a mając i głos i zdolności potemu, pewnieby nas o wiele więcej jeszcze zadowolnić i zachwycić była w stanie, gdyby nie brak swobody i śmiałości, na której zwykle zbywa każdemu, występującemu po raz pierwszy na widownię publiczną.

Trzy Ouvertury: wielka Ouvertura p. Karola Hasslingera; — Ouvertura p. Lindpaintnera i Ouvertura Reissigera, wykonane po części

przez wojskową muzykę, po części przez miejscowych muzyków pod dyrekcyą pana Germasza właściwą i jedyną stanowiły ozdobę wczorajszego koncertu.

I otóż macie kompletny obraz całego, podług wysłowienia się pana Gaudeliusa, koncertu okazałego.

* Handel księgarski u nas idzie bardzo leniwo, najpokupniejszego dzieła zaledwie 150 egzemplarzy rozchodzi się po Galicyi. Dla tego Czas krakowski mówi, iż rzadkim pojawem w świecie książkowym jest rozchwycenie w ciągu jednego tygodnia całego nakładu legendy Wincentego Pola pod napisem: Czarna krówka. Dziennik ten bierze ztąd dowód, jak poezya religijno-moralna znajduje w narodzie naszym gorące przyjęcie. Powinien był właściwie powiedzieć „religijno-mistyczna", bo polskiej poezyi religijno-niemoralnej nie było dotąd; wszystka literatura polska jest i religijna i moralna; charakterystyką zaś „Czarnej Krówki" jest mistyczność. Gdyby istotnie w ciągu jednego tygodnia rozkupiono jej wydanie, jeszczeby ztąd wnosić nie można, że naród podoba sobie w mistycyzmie, boć każdy dopiero po kupieniu czyta dzieło, cóż dopiero, gdy całe to rozkupienie wydania jest wierutnym fałszem. Rozrzucono po całym kraju prenumeratę patryotyczną na wydanie dziełka pana W. Pola, a po wydaniu prenumerantom rozesłano. Że tak liczna była prenumerata, iż wyczerpnęła prawie całe wydanie, toć ztąd nie można mówić, iż dzieło w jednym tygodniu rozkupione zostało, lecz że czynnych zbieraczów prenumeraty wydawca znalazł wielu w kraju i że po dawniejszych utworach poety sądząc, spodziewano się również coś celującego. Z wszelką oględnością daliśmy zdanie nasze o tej legendzie, niechcieliśmy nawet wyraźnie wskazywać upadającego talentu, ale gdy Czas opierając się na wierutnym fałszu również fałszywe choć do jego smaku przypadające wyprowadza ztąd wnioski, zmuszeni byliśmy powiedzieć tych słów kilka.

* **Amerykańska plutokracya.** Jedna z najciekawszych osobliwości literackich, które prassa amerykańska od czasu do czasu na świat wydaje, jest książka, która niedawno wyszła w Bostonie i zawiera do 2000 imion najbogatszych obywateli w Massachusetts, z dołączeniem do każdego krótkiej wiadomostki biograficznej, którą niewiedzieć czy mamy za prawdę lub żart przyjąć. Tak opowiada tam o niejakim p. John C. Lee, który na ogrodnictwie, a szczególnie na rzadkiej piękności gruszkach 250,000 dollarów zarobił, i może być wzięty za wyśmienity wzór dumy arystokratycznej. Pan Willard Peele jest ponury i ascetyczny ale posiada 300,000 dollarów i mieszkanie jego na Chesnut-Street, do upadku niegdy się chylące, dziś za czarodziejską rószczką bogactwa zdumiewa przepychem i pięknością. P. Abbott Laurence, były poseł w Londynie ma dwa miliony dollarów majątku i do tego wielki i przedsiębierczy talent spekulacyjny. O panu Auguście Percy zapewnia nas, że nie da trawie rosnąć pod nogami i ślimaków nie cierpi w swoim domu, ale pomimo tego pracowity ten człowiek zebrał tylko sumkę 200,000 dolarów. Ale zato się odznacza przed wszystkimi swoimi koleżkami „braćmi po mamonie" imieniem swojem dumnie brzmiącem i jego jednego spotkało to szczęście ożenić się z ową, w amerykańsko-arystokratycznych kółkach tak sławną pięknością: Miss Elizą Endicott, prawnuczką Gubernatora Endicott. — Tym tedy trybem autor przechodzi wszystkich magnatów z Massachusetts i bez żadnej żenady odsłania (sam lubując w bezimienności) ich stan finansowy, charakter, i stosunki familijne. Można sobie łatwo wystawić, że takowe wiadomostki licznych i łakomych znajdą czytelników co już i ta okoliczność potwierdza, że wkrótce drugie poprawne i pomnożone wydanie tego dziełka „Names aud Sketches of nearly Two Thousand of the Richest Men of Massachusetts i t. d. Second Edition. Boston." na świat wyszło, które zawiera 426 imion nowych, reprenzentujących 40 milionów dollarow, tak że majątek wszystkich razem w książce wymienionych panów sięga summy 284, 689. 000 dollarów. Nie można nie podziwiać akuratności wykazów tego statystyka plutokratycznego.

Znaczenie poprzednich szarad: **1. Elster, 2. Karnawał, 3. Bonaparte, 4. Cecora.**

Szarady przez **W. Ł.**

1. Ma pierwsza wspak litera, druga ziemię ryje,
Całe jest tylko wtedy, gdy się dobrze kryje.

2. W pierwszej i trzeciej wieszcz się często probuje,
Do drugiej zaś i trzeciej nikt się nie przyznaje,
Wszystko się raz tylko w lecie pokazuje,
A mocno się zwierzętom dokuczliwem staje.

3. Jesteś mą pierwszą, opuszczon od ludzi,
Czasem ci miła, ale czasem nudzi,
Druga odziewa wzdłuż całe Karpaty,
I białowiezkie puszcze w ciemne szaty,
Całe nad Dniestrem, gród to obwodowy,
Wzniesion od Polsce pamiętnej królowej.

Przyjechali od dnia 21. do 22. sierpnia do Lwowa:

PP. Kiernicki Konstanty, z Frysztaku. Fredro Edward Xawery hr., z Balic. Jahn Karol, z Ławiec. Gryzewski Aleksander, z Tarnowa. Papara Henryk, ze Żółkwi. Białoskórski Felicyan, z Czajkowic.

PP. Jabłonowska Franciszka hr., z Krakowa. Giziński Aleksander, z Ubcec. Bocheński Wiktor, ze Żurowa. Lochwann Jan, ze Złoczowa. Füller Franciszek, z Krakowa. Ubysz Henryk, z Żółkwi.

Wyjechali od dnia 21. do 22. sierpnia ze Lwowa:

PP. Winnicki Tytus, Łączyński Hipolit do Liszek. Łoś Tadeusz, hr., do Narola. Wisłocki Alojzy, do Krystyanpola. Antoniewicz Mikołaj, do Żółkwi. Romaszkan Piotr, do Laszek.

PP. Urbański Tadeusz, do Laszek. Rusocka Adolfina hr., do Horodca. Stopczyński Franciszek, do Tarnopola.

Kurs telegrafowany z Wiednia 23. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam.	—.	Medyolan za 300 lirów	118.
Augsburg za 100 złr.	$118\frac{5}{8}$.	Paryż za 300 franków	$139\frac{1}{2}$.
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$118\frac{1}{2}$.	Srebra agio	19
		Pożyczka 5% $85\frac{5}{8}$. 4½	$75\frac{5}{16}$.
Genua.	—.	Pożyczka lit. B.	—
Hamburg za 100 tal. banco.	$86\frac{1}{4}$.	Akcye banku . . .	1292.
Konstantynopol	—.	Kolej północna . . .	$1722\frac{1}{2}$.
Liwurno.	—.	Obl. ind.	80
Londyn za 1 funt szterl.	11. 30.	Nowa pożyczka . . .	92.
Marsylia	—.		

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.** Gotowką towarem.

	Gotowką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	20	złr.	5	kr.	24.
Dukat cesarski	„	5	„	26	„	5	„	30
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„	20	„	9	„	24.
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	48	„	1	„	50.
Talar praski	„	1	„	43	„	1	„	45.
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	20	„	1	„	21.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . . .	„	85	„	—	„	85	„	30.

Obligacye indemnizacyjne 79 do 80 Złr. — kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**